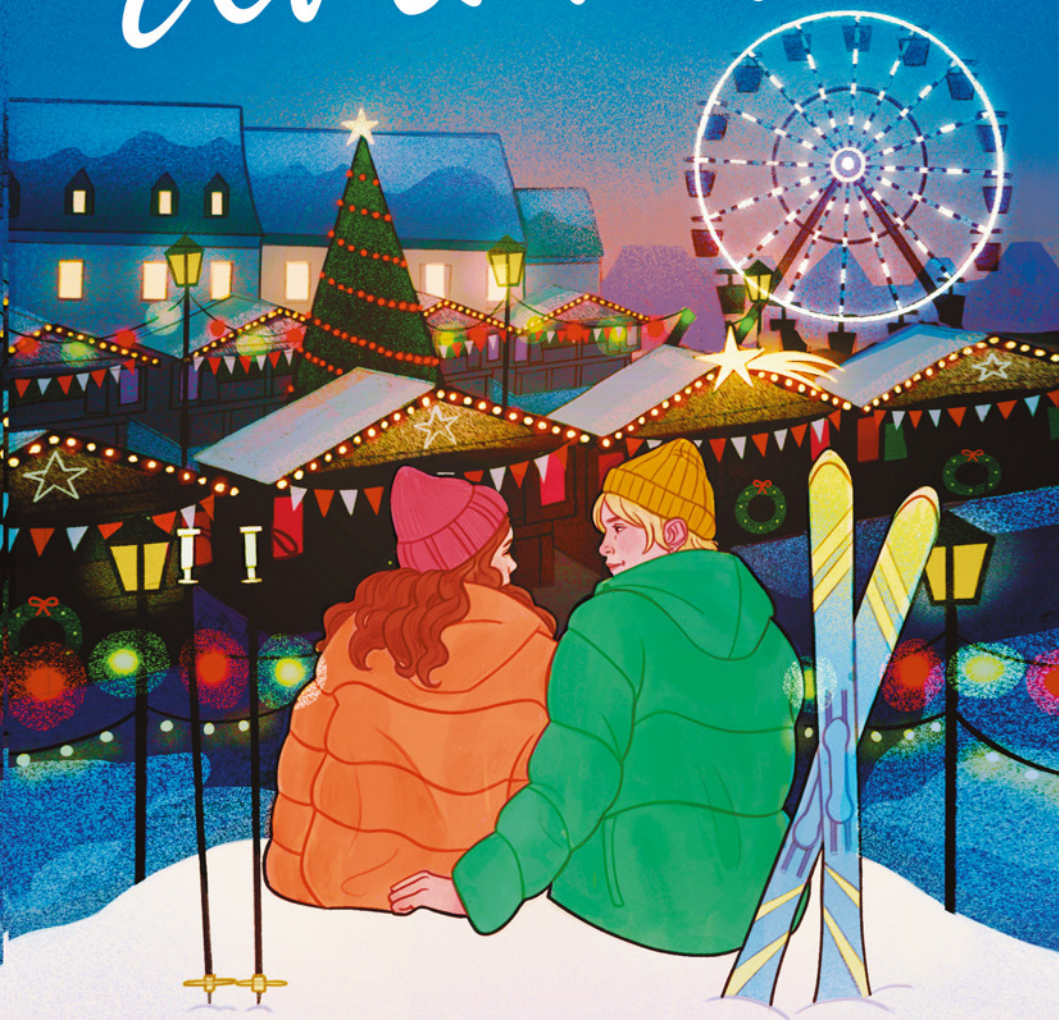


AGATA GŁADYSZ

# Eli & Matt



ODYSEYA



AGATA GŁADYSZ

*Eli & Matt*

ODYSEYA

Kraków 2024

**znak**

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2024

© Copyright by Agata Gładysz

Wydanie pierwsze

Kraków 2024

*Z całego serca życzę Wam,  
aby jedynymi bałwanami na Waszej życiowej drodze  
były te ze śniegu.*

Zatrzymałam się z ręką na klamce i z zaskoczeniem wbiłam wzrok w długie palce chłopaka, nadspodziewanie delikatnym gestem podtrzymujące pakunek.

– Dla mnie? – zdziwiłam się szczerze.

– To prezent urodzinowy z lekkim wyprzedzeniem – wytłumaczył.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – dorzuciła przez ramię ciocia Audrey, która dreptała w ślad za swoim mężem.

Cała ekscytacja narastająca w moim żołądku zgasła. No tak, to prezent od nich. Nie od niego.

– Powinnam założyć kombinezon ochronny przed odpakowaniem?

Ciepłe światło ulicznej latarni wpadające przez uchylone drzwi obmywało twarz stojącego przede mną chłopaka. Młodzieńcze rysy już jakiś czas temu zaczęły się wyostrzać, dojrzewać, jednak oczy wciąż iskrzyły chłopięcym urokiem.

– Nie, ale radziłbym ostrzec pozostałych domowników, że warto mieć w zanadru gaśnicę. – Przekazał mi torebkę. A kiedy jego ręce były już wolne, po bratersku zmierzwił mi włosy. Jęknęłam udręczona, lecz zanim zdążyłam go odepchnąć, już szedł bardzo dobrze sobie znaną drogą do pokoju Pera.

Przez chwilę stałam w miejscu, skubiąc zębami dolną wargę i pozwalając, by rozmarzenie przejęło moje myśli. Długie palce przeczesujące moje włosy, nie szybko i niechlujnie, ale delikatnie i z uczuciem. Słowa, które kierował w moją stronę...

„Radziłbym ostrzec pozostałych domowników, że warto mieć w zanadru gaśnicę” – tak by powiedział, jednak dodałby jeszcze: „...bo jesteś taka gorą...”.

Skrzywiłam się, ucinając te wizje.

Eli, jesteś raczej żałosna, a nie gorąca.

Kręcąc głową z politowaniem dla samej siebie, zatrzasnęłam w końcu drzwi i wróciłam do salonu. Dopiero tam zajrzałam do trzymanej w dłoniach torebki. Mimowolnie się uśmiechnęłam, widząc, co się w niej znajdowało.

Kriegerowie od pokoleń prowadzili swój (na początku mały, teraz dość znany w okolicy) rodzinny biznes – wytwórnię świec sojowych. Od kiedy pamiętam, w naszym domu paliło się tylko je, szczególnie w okresie zimowym.

Odkręciłam złote wieczko i zaciągnęłam się słodką nutą. Do moich nozdrzy napłynęło intrygujące połączenie. Zerknęłam na etykietę.

Wiśnia i wanilia.

Tego zapachu jeszcze nie miałam.





*Eli*

Siedziałam w fotelu, zjadając się szarlotką z lodami i udając, że słucham rozmowy toczącej się w naszym salonie, podczas gdy moje myśli raz po raz mimowolnie uciekały do gościa, który jak dotąd nawet na chwilę nie wyściubił nosa z pokoju znajdującego się mniej więcej nad moją głową.

Pera i Matthiasa łączyła odwieczna i dozgonna męska przyjaźń. Byli gorsi niż psiapsiółki. Swego czasu – gdy każdy z nich miał po jednym włosie na kłacie – jeden bywał u drugiego codziennie. Jeśli nie zakłócali spokoju u nas, to robili to w domu Kriegerów. Z weekendami włącznie. Nie przyznałabym się do tego przed swoim starszym bratem, ale mimo wszystko lubiłam, kiedy robili raban właśnie u nas. Dzielą nas trzy lata, więc rozumiem, dlaczego nigdy nie byłam dla nich interesującym towarzystwem, jednak kiedy przebywali w naszym domu, mogłam przynajmniej dyskretnie szukać okazji do spędzenia choć chwili blisko nich. Zazwyczaj wyglądało to tak:

Kiedy ja miałam piętnaście, a oni po osiemnaście lat, często grali w naszym salonie na konsoli. Odrabiałam wtedy lekcje w kuchni, bo stamtąd mogłam obserwować przebieg ich rozgrywki i w duchu dopingować *jednemu* z nich.

Kiedy ja miałam szesnaście, a oni po dziewiętnaście lat i spędzali czas na uczeniu się do egzaminów w pokoju Pera, mieszczącym się tuż obok mojego, specjalnie zostawiałam uchylone drzwi, aby słyszeć *ten* głos.

Kiedy ja miałam (a w zasadzie jeszcze mam) siedemnaście, a oni po dwadzieścia lat, za każdym razem, gdy latem grali w piłkę na naszym podwórku, wychodziłam poczytać książkę na świeżym powietrzu, usadawiając się tak, aby kątem oka widzieć *jego* wystawioną na słońce sylwetkę biegającą za piłką.

Oficjalną wymówką było to, że w ich towarzystwie najzwyczajniej w świecie czułam się bezpieczniej. Albo to, że po prostu chciałam zrobić na złość Perowi, jak na młodszą siostrę przystało. Zresztą była to prawda, ale tylko częściowa, bo ten najistotniejszy powód znałam wyłącznie ja. Jak by to powiedzieć... To raczej nie obecność mojego brata mnie tak przyciągała.

– Postanowiliśmy w tym roku wystawić się na Montreux Noël – obwieściła wszystkim ciocia Audrey.

Montreux Noël to popularny w Szwajcarii jarmark świąteczny. Co roku zwykły plac zamienia się w przepiękną świąteczną wioskę. Sto sześćdziesiąt wspaniale przystrojonych stanowisk. Ręcznie robione szydełkowe cuda, śpiewające aniołki, jabłka w karmelu, pieczone kasztany i tego typu rzeczy.

– Matt zabrał się z nami dzisiaj, żeby zapytać waszego Pera, czy nie miałby ochoty dorobić sobie kilka groszy i pomóc nam ze złożeniem woskowej wioski – dodała.



No i tak oto miałam odpowiedź na kotłujące się w mojej głowie pytanie, czemu Matt zaszczyił nas dzisiaj swoją obecnością. Oczywiście naiwnością byłoby myśleć, że przyszedł tutaj, bo może... on również tęsknił. Za „kumplowaniem” w pełnym składzie, no i... za mną. Ale tą osobą, która przyciągała go do naszego domu, niezmiennie był mój brat.

– Per musi zdać ostatnie egzaminy, ma poprawkę w poniedziałek – wtrącił się niezadowolony tata – więc kiedy tylko, czy może: o ile, ją zaliczy, jest wasz.

Wiedział o tym każdy, kto odważył się w ostatnim czasie zadać mojemu bratu pytanie:

– Czy ty przypadkiem nie powinienes się uczyć, zamiast grać w gry?

– To taki mój rytuał – odpowiadał. – Sposób, dzięki któremu mój mózg lepiej przyswaja wiedzę. Uczę się z notatek głosowych, ale muszę jednocześnie grać, bo inaczej nic z tego nie będzie.

Jasne. Tu mi czołg jedzie.

– To lepiej już szukajcie kogoś innego – parsknęłam pod nosem, nabierając kolejną porcję ciasta na widelczyk. Nie dotarła jednak ona do moich ust, bo chwilę później uderzyła mnie w twarz puchata poduszka, wytrącając z ręki talerzyk. Z głuchym hukiem odbił się od podłogi i wyrzucił tak, że cała jego zawartość wylądowała na dywanie.

Zapadła cisza. Zdezorientowana, poderwałam głowę. Mama gromiła wzrokiem tatę, który gromił wzrokiem Pera, który gromił wzrokiem mnie. Posłałam mu więc wściekle spojrzenie, prawie warcząc. Właśnie pozbawił mnie ulubionego ciasta. Ledwo zdążyłam go skosztować.

– Zlizuj to. – Z morderczą miną wskazałam palcem na rozciapane jabłka z kruszonką na chmurce z bitej śmietany, z dodatkiem kocich kłaków.

Polecenie dotarło jednak nie do tych uszu, do których miało dotrzeć, bo w tym samym momencie do płamy na dywanie leniwie zakradł się Kotlet z zamiarem zlizania roztopiającej się śmietany swoim szorstkim różowym językiem.

Za to Per nawet się nie kłopotał odpyskowaniem. Jak gdyby nigdy nic podszedł do stołu, żeby wziąć czysty talerzyk i nałożył na niego ostatni kawałek szarlotki, po czym, wyzywająco wpatrując się w moje oczy, włożył sobie porcję do ust, mruczając przy tym z zadowoleniem.

– Smacznego, życzy firma „udław się” – wyburczałam pod nosem.

Matthias przyglądał się temu wszystkiemu z czystym rozbowieniem wymalowanym na twarzy, a rodzice, jak gdyby nigdy nic, wznowili rozmowę o jarmarku.

Zirytowana i z deficytem szarlotki we krwi, zapadłam się głębiej w oparcie fotela, ciężko wzdychając.





## Eli

„...przekładamy włóczkę pod spodem i zawijamy, zaciągamy i w ten sposób powstanie pierwsze oczko”.

Siedziałam na ziemi otoczona włóczkami, żyłkami i przyborami, o których istnieniu wcześniej nie miałam nawet pojęcia. Co dopiero mówić o zastosowaniu. W tle leciał tutorial *Najprostszy sweter na drutach. Instrukcja krok po kroku*.

Pomyślałam, że spróbowanie czegoś nowego, jakiejś nowej pasji, mogłoby być dobrym początkiem na drodze do wyjścia z mojego życiowego marazmu. Ta ręczna robótka na pierwszy rzut oka nie wydaje się szaloną rzeczą. Nic bardziej mylnego. Zaraz chyba dostanę obłądu. Jeśli właśnie to jest tutorial dla początkujących... Cóż, kiepsko to widzę. Jak na razie zamiast swetra mam jeden wielki kołtun na drucie. Nie rozumiem kompletnie nic, a każda kolejna próba kończy się jeszcze bardziej poplątaną wełną albo pomieszaną liczbą oczek.

Wszystkie potrzebne rzeczy podkrađłam mamie. Jest mistrzynią w robieniu na drutach i w jej wykonaniu wydawało się to nie-  
zwykle proste, więc byłam pewna, że ja również dam sobie radę.  
Przeliczyłam się.

Wystawiając język, w skupieniu spróbowałam raz jeszcze nawi-  
nąć włóczkę na drut.

Pod włóczkę, nad włóczkę.

Okej.

Teraz osiemdziesiąt osiem oczek bez tego pierwszego.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

Na ekranie wyskoczyło połączenie wideo od Meli, które zasło-  
niło oglądany przeze mnie filmik. Wzdychając z rezygnacją, sięg-  
nęłam po telefon.

– Halo?

– Hej, Eli! – Okrągła twarz mojej przyjaciółki wypełniła ekran.  
Mela była w swoim pokoju. Kremowe ściany oblepione tuzinem  
plakatów robiły za tło. Telefon położyła na toaletce, więc mog-  
łam teraz obserwować, jak kończy poprawiać makijaż. Na policz-  
ku miała odcisnięty szew poduszki, musiała się właśnie obudzić  
z poszkolnej drzemki, którą często sobie uciwała. A była dopiero  
czternasta. W poniedziałki jednak czasami zrywała się z dwóch  
ostatnich lekcji (wuef, kto by się spodziewał), więc pewnie dzisiaj  
zrobiła to znowu.

Często musiałam wysłuchiwać, jak bardzo zazdrości mi tego, że  
rodzice przepisali mnie do szkoły w chmurze, dzięki czemu mój  
plan dnia był o wiele bardziej elastyczny. Ale tego, jak siedziałam



Niniejsza powieść jest dziełem fikcji. Wszelkie postaci i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Redaktorka inicjująca i prowadząca: Milena Buszkiewicz

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku: CHAT BLANC Anna Poinc-  
-Chrabąszcz

Korekta: Marta Jakubowska | Słowa na warsztat

Opieka redakcyjna: Sabina Wojtasiak

Projekt okładki: Dixie Leota

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Karolina Korbut

Ilustracja na marginesach stron nieparzystych: Idey | AdobeStock

Ilustracje na s. 295, 297, 299: dinvector, 210484kate | AdobeStock

Opieka promocyjna: Wiktoria Wermińska

ISBN 978-83-240-9961-0

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Druk: Wydawnictwo Jedność